Zbigniew Bauer

Na początku nie było Sieci

Grzegorz Godlewski, *Słowo – pismo – sztuka słowa. Perspektywy antropologiczne*, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2008, 440 ss., Seria: „Communicare"

Ekrany piśmienności. O przyjemnościach tekstu w epoce nowych mediów, red. naukowa Andrzej Gwóźdź, Wydawnictwa Akademickie i Profesjonalne, Warszawa 2008, 348 ss., Seria: „Cyberkultura – Internet – społeczeństwo"

O tym, że można napisać historię człowieka (choć nie zawsze „człowieczeństwa"), pisząc historię środków komunikowania, nie trzeba dziś w zasadzie nikogo przekonywać, jednak w naukowej refleksji w Polsce podejście takie jest stosunkowo świeżej daty. Nie znaczy to, że prób takich nie podejmowano i że były to próby chybione: problem tkwi raczej w uwikłaniu takich rozważań w konteksty znacznie szersze (polityczne, socjologiczne, psychologiczne etc.), co sprawiało, że refleksja o sposobach porozumiewania się ludzi, o narzędziach takiemu porozumieniu służących, o przemianach owych sposobów i narzędzi i – co ważniejsze – przyczynach oraz konsekwencjach wszystkich tych zmian, mogła wydawać się incydentalna i drugoplanowa. Przyczyn takiego stanu rzeczy jest zapewne wiele i nie da się ich wszystkich tu zinwentaryzować. Jednym z powodów mogło być zbyt pochopne utożsamienie „środków komunikowania" z mediami i to pojmowanymi wąsko, bo jako „technologie" lub wręcz aparaty czy narzędzia umożliwiające komunikację. Nadto – a nastawienie takie pokutuje do dziś w nauce, nie mówiąc już o wyobrażeniach potocznych – mówiąc „media", myśleliśmy o mediach masowych, ze wszystkimi konsekwencjami takiego ujęcia. Powstawały więc osobne historie prasy, radia czy telewizji: w strumieniu ich dziejów wyznaczano kolejne nurty czy odnogi, co nie zmieniało istotnego ograniczenia: zasięg wzroku historyka wyznaczała linia składająca się z „twardych" punktów, czyli kolejnych technologii umożliwiających przekazywanie informacji od nielicznych nadawców do wielkich, anonimowych i nazywanych „masowymi" odbiorców. Te „twarde" punkty to wynalazki druku, radia i telewizji oraz fakty wyznaczające ścieżki ich upowszechnienia (np. pojawianie się rozmaitych odmian prasy i książki).

W myśleniu o „środkach komunikacji" mocno ugruntował się „paradygmat

prasoznawczy"; jestem zarazem daleki od tego, by nie zauważać, że w obrębie tego paradygmatu powstało mnóstwo użytecznych narzędzi, metodologii i procedur badawczych, bez których opis kolejnych „mediów" byłby – przynajmniej we wstępnej fazie – niemożliwy. „Paradygmat prasoznawczy" miał swoje umocowanie w randze prasy jako dominującego medium masowego i dopiero zmiana na tronie hegemona – czyli nadejście epoki mediów audiowizualnych, przede wszystkim telewizji – zmusiła (choć następowało to stopniowo i nie bez zarówno dramatycznych, jak i zabawnych zwrotów) teoretyków i praktyków do zmiany nastawienia, czego efektem było powstanie „paradygmatu telewizyjnego" (w obu przypadkach terminu „paradygmat" używam na prawach metafory). Narodziny każdego nowego medium jako technologii wyprzedzają świadomość tego, czemu to medium może służyć, na czym opiera się jego tożsamość. Zawsze istnieje – zarówno w sferze praktyki, jak i refleksji teoretycznej – czas, w którym chcemy ową technologiczną nowość stosować, a także opisywać ją w kategoriach naukowych, posługując się dostępnymi narzędziami, sprawdzonymi wobec zupełnie innej materii. Musimy po wielokroć się przekonać, że nowy przedmiot wymaga nowego instrumentarium: nie inaczej wyglądała sytuacja w przypadku telewizji, do której – niekiedy do dziś – próbuje się podchodzić tak, jakby była ona wyłącznie technologiczną mutacją genotypu filmowego. Efekty takich poznawczych eksperymentów rzadko bywają zadowalające.

Jest i inny aspekt wspomnianej sprawy – bardziej lokalny niż uniwersalny. Większość rozbudowanych i utrwalonych w medioznawstwie (do dziś autonomiczność tej dyscypliny wiedzy bywa kwestionowana) teorii powstawała tam, gdzie istniały rozwinięte systemy medialne oraz zaawansowane technologie mediów. Trudno się dziwić, że badacze amerykańscy, kanadyjscy, brytyjscy, francuscy czy niemieccy budowali teoretyczne struktury, opierając się na obserwacjach rzeczywistości bezpośrednio im dostępnej. Opisując własne media (i własne doświadczenia z nimi), zmierzali w stronę twierdzeń ogólnych, modeli powszechnych – gdyż takie jest w końcu zadanie każdego teoretyka. W Polsce przed 1989 r. znajomość tych teorii była nikła i ograniczała się jedynie do wąsko wyspecjalizowanej grupy badaczy, którzy cytowali i omawiali koncepcje swoich zachodnich kolegów, a niekiedy nawet nauczycieli, podejmowali czasami polemiki i starali się dokonywać uściśleń – lecz wszystkie te działania sprawiały wrażenie całkowicie abstrakcyjnych, wydawały się systemem zamkniętym i zarazem autarkicznym. W kraju, w którym istniały zaledwie dwa kanały całkowicie kontrolowanej przez władze telewizji, trzy kanały podobnie uzależnionego radia, a tytuły prasowe – chociaż liczne – w gruncie rzeczy realizowały „leninowski model": w takim otóż kraju w niewielkim stopniu można było zrozumieć, o co chodzi badaczom kręgu frankfurckiego (nb. reprezentującym „złą" odmianę lewicowości), przedstawicielom tzw. szkoły Birmingham czy socjologom francuskim. Telewizję czy prasę, takie, o jakich pisali i mówili, mogliśmy sobie jedynie wyobrażać, a wyobrażenie to – niezmiennie krytyczne – kształtowali rodzimi badacze,

publicyści czy popularyzatorzy nieskłonni do nonkonformizmu wobec panującego porządku ideologicznego. Owszem – czytanie i cytowanie Marshalla McLuhana było (jak powiedzielibyśmy dziś) „*trendy*", zwłaszcza gdy pojawiły się polskie tłumaczenia jego prac, podobnie jak w dobrym tonie było napomknąć coś o Herbercie Marcuse czy Paulu Lazarsfeldzie – jednak ich koncepcje dotyczyły raczej ciał astralnych niż tej rzeczywistości medialnej, z jaką obcował czytelnik w Polsce czy szerzej: na wschód od Łaby. Ma więc rację Tomasz Goban-Klas, redaktor pierwszego polskiego wydania (po ćwierćwieczu od oryginalnej edycji) fundamentalnej *Teorii komunikowania masowego* Denisa McQuaila, że przyczyną takiego opóźnienia nie była wcale cenzura, ale fakt, że książka ta po prostu nie byłaby zrozumiała i dla badaczy, i dla – tym bardziej – studentów. Nie istniała reklama, nie istniały „tabloidy" (w takim rozumieniu, jak dzisiejsze) ani „przemysł medialny" (o takiej, jak dzisiejsza, potędze), ani też, co oczywiste, konkurencyjny rynek mediów.

Po 1989 r. zaczęto w Polsce gwałtownie odrabiać zapóźnienia, niemniej ukazujące się dziś prace „ojców założycieli" medioznawstwa, wywołujące niegdyś żywą debatę na Zachodzie, dziś traktowane są jako muzealne poniekąd eksponaty, dokumentujące co najwyżej historię myślenia o mediach: technologiach, ich społecznych konsekwencjach czy uwikłaniu politycznym. Teorie te, w swoim ortodoksyjnym brzmieniu, wywołują najwyżej rozbawienie młodzieży z powodu oczywistości zawartych w nich tez. I chociaż w ciągu 20 lat realia medialnego świata w Polsce i na Zachodzie przestały się zasadniczo różnić, to i tak jesteśmy poniekąd na trajektorii eleackiej strzały. Literatura dotycząca mediów w najróżniejszych ich aspektach ukazująca się w USA i na Zachodzie jest dziś ogromna; polskie przekłady obejmują zaledwie niewielki jej ułamek, z wieloma oryginałami możemy zapoznać się dzięki Sieci. Prace te dotyczą wprawdzie rzeczywistości znanej nam już z doświadczenia, niemniej w poważnej mierze ich autorami są badacze rozwijający podstawowe teorie swoich nauczycieli lub niekiedy nauczycieli (znów warto posłużyć się przykładami tradycji *Cultural Studies*, „neotorontczyków" czy spadkobierców myśli Ervinga Goffmana). Teorie te poznajemy później niż ich przetworzenia lub niemal wyłącznie poprzez takie przetworzenia. Są to, w niczym nie umniejszając ich wartości i mówiąc za Fiske'm – „teksty drugiego stopnia", nie pozwalające z odpowiednim zrozumieniem śledzić wszystkich poziomów kontynuacji, polemik, rozszerzeń w stosunku do teorii wyjściowych.

Narastająca w geometrycznym postępie literatura medioznawcza, której zawdzięczamy możliwości opisu wielu rodzimych zjawisk, tworzy jednak przestrzeń narastających głosów, wielogłos, a raczej gwar, w którym coraz trudniej wychwycić znaczenia najbardziej podstawowe. Nic więc dziwnego, że uzasadniona jest chęć powrotu do rudymentów myślenia o komunikacji i o mediach, do jego początków, co oznaczać musi specyficzne „oczyszczenie" pola, zdefiniowanie jeszcze raz pewnych pojęć, dokonanie radykalnego odwrotu od „mediocentrycznego" opisu komunikacji społecznej. Musi również oznaczać – i takie

przeczucie da się wyczytać z wielu ukazujących się dziś publikacji – że opisanie samej komunikacji społecznej jako takiej, komunikacji, której media są jedynie częścią, jest zadaniem o wiele poważniejszym i bardziej poznawczo płodnym, niż analizowanie mechanizmów wytwarzania, dystrybucji i odbioru samych przekazów medialnych lub określonych ich typów, technologii lub struktur instytucji medialnych.

W takiej też perspektywie widzę rosnące zainteresowanie pracami np. Harolda Innisa – w Polsce znanymi jedynie wyimkowo, renesans Marshalla McLuhana i Waltera Onga, Jacka Goody'ego, Erica Havelocka i Michaiła Bachtina (którego czytano ostatnio z reguły przez pryzmat koncepcji intertekstualności), a także formalistów rosyjskich. Jedynie pozornie jest to ruch wstecz – w gruncie rzeczy jest to próba określenia najbardziej elementarnego pola zainteresowań nauki o komunikowaniu dziś, w dobie „panteizmu – Sieci" i technologii cyfrowych, które w gruncie rzeczy wcale tego pola nie przebudowały aż tak bardzo, jak się to potocznie sądzi. Można jednak zaryzykować przypuszczenie, że im więcej o Sieci wiemy – a wiemy tym więcej, im dłużej i intensywniej z nią obcujemy, a tym samym ją zmieniamy – tym jaśniej widzimy potrzebę refleksji nad słowem, obrazem i widowiskiem jako elementarnymi mediami kulturowymi. Pierwszeństwo należy się tu słowu, gdyż – i tu prawdopodobnie dziś nie ma zdań zdecydowanie odrębnych – ono jest rdzeniem kultury i to dzięki niemu człowiek osiągnął zdolność transgresji, przekroczył próg własnego, śmiertelnego, ograniczonego przez biologię, fizycznego „tu i teraz". Odszukiwanie tego rdzenia w niesłychanie skomplikowanej konstrukcji ludzkiej kultury – myślę tu o słowie pierwotnym, oralnym – jest zadaniem i trudnym, i pasjonującym. Ale to właśnie najbardziej wyrafinowane technologie, tworzące współczesną, cyfrową przestrzeń komunikacji niemal bezpośrednio odsyłają do zagadnień związanych z owym pierwotnym słowem. I chyba to właśnie wszechobecność Sieci uświadomiła istnienie takich relacji; nie mogła tego uczynić – mimo swojej potęgi i swojej audiowizualności – „kultura telewizji", ani też „kultury" obudowujące się wokół wcześniejszych mediów technologicznych. Wymaga to wszakże szczególnego podejścia, które dobrze scharakteryzował niegdyś Andrzej Mencwel: „Nie zrozumiemy otóż technologii najnowszych i nie będziemy wiedzieli, co one z nami robią, jeśli nie będziemy rozumieli całej sekwencji systemów komunikacji w kulturze ludzkiej. Można powiedzieć, że nie uzyskamy poznawczego wstępu do tej kultury, nie rozumiejąc tej sekwencji."[1]

Nie chodzi tu bynajmniej o zinwentaryzowanie tych sekwencji, ułożenie ich na osi czasu i wyznaczenie punktów granicznych, „kamieni milowych", a raczej „miedz" oddzielających poszczególne systemy komunikacyjne od siebie. Owszem – badanie historii mediów jest potrzebnym i pouczającym zajęciem, jednak celem ostatecznym nie jest skonstruowanie dwuwymiarowej mapy czy grafu ilustrującego przemiany komunikacyjnych „domen", jak

[1] A. Mencwel, *Wyobraźnia antropologiczna. Próby i studia*, Warszawa 2006, s. 35.

uczynił to np. Roger F. Fidler[2]. Im wnikliwiej przyglądamy się genezie kolejnych systemów, analizujemy konsekwencje ich powstania i odkrywamy powiązania między zjawiskami pozornie od siebie oddalonymi, tym silniej odczuwamy, że mamy do czynienia z wielowymiarową figurą „rozkwitania", w której udaje się co prawda wyodrębnić główne osie, „pnie", niemniej odgałęzienia i odrosty tworzą strukturę niesłychanie splątaną, swego rodzaju palimpsest, w którym poszczególne warstwy i piętra nie dają się od siebie oddzielić bez uszczerbku. Chociaż próbować – warto.

Taka wizja towarzyszy lekturze tomu esejów Grzegorza Godlewskiego *Słowo – pismo – sztuka słowa. Perspektywy antropologiczne*. Autor, związany od lat z Instytutem Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego i współredaktor fundamentalnych tomów zawierających fragmenty najważniejszych prac poświęconych antropologii słowa oraz podręczników akademickich z tego zakresu, zebrał tu i ułożył w spójną całość teksty publikowane wcześniej w innych miejscach, jednak czytelnik nie znajduje wielu śladów „szwów", trudnych do uniknięcia w takich sytuacjach. Książka zawiera jednorodny, przemyślany wykład, dowodząc tym samym badawczej konsekwencji Godlewskiego i zarazem swoistej wierności metodologicznej linii wypracowanej przez uczonych skupionych wokół Andrzeja Mencwela. Naukowa biografia autora *Słowa – pisma – sztuki słowa* potwierdza zresztą tendencję, którą można obserwować co najmniej od kilkunastu lat: dzisiejsi badacze mediów, antropolodzy kultury i komunikacji to w dużej grupie poloniści, którzy – nigdy nie zdradziwszy podstawowej swej dyscypliny – postanowili przekroczyć tradycyjne jej granice, metodologie, instrumentarium, poniekąd intuicyjnie przeczuwając, że mogą się one okazać niewystarczające, gdy przychodzi opisywać zjawiska kulturowe najświeższej daty. Świadomość ta była dobrze wyczuwalna w trakcie Zjazdu Polonistów w 2004 r. odbywającego się pod hasłem „przebudowy polonistyki". Ale i tu potwierdza się zasada, o której wspomniałem wyżej: owa przebudowa (nie tylko polonistyki, ale, jak się wydaje, większości nauk humanistycznych) dokonywała się w Polsce po trosze dzięki odważnemu zawłaszczaniu intelektualnemu przez specjalistów z tradycyjnej i uznawanej za skostniałą dyscypliny obszarów, na które zapuszczali się powodowani ciekawością, pasją lub inspirowani lekturami prac obcych autorów, wydawanych w Polsce z rzadka, zaś w oryginałach dostępnych jeszcze trudniej. Byli oni nie tyle świadomymi swoich celów osadnikami, ile nieznającymi wszystkich ścieżek pionierami: obcymi dla tych, którzy tereny te zamieszkiwali od dawna, a dla swoich kimś w rodzaju odszczepieńców lub nieszkodliwych oryginałów i awanturników, próbujących nowego życia na nieznanej ziemi. Co ciekawe – i jedni, i drudzy z łatwością kwalifikowali ich jako ignorantów, amatorów (w pejoratywnym znaczeniu tego słowa). Gdyby jednak zastosować do nich mechanizmy „kultury konwergencji" opisywane przez Henry'ego Jenkinsa – uznalibyśmy ich raczej za działających najpierw pojedynczo, potem formujących zbiorowości, „fanów" lub wręcz

[2] R.F. Fidler, *Mediamorphosis: Understanding New Media*, Thousand Oaks–London 1997.

„kłusowników" (*poachers*). A ci, jak przekonuje Jenkins, zdolni są dokonać radykalnej zmiany na tych obszarach, na których się znajdą, zadając pytania, jakich wcześniej nie zadawano (gdyż uchodziły za naiwne lub banalne) lub widząc dawne problemy w zupełnie nieoczekiwanym świetle[3].

Ta konwergencja wiedzy, metodologii, dyskursów naukowych nie jest niczym osobliwym i trwa od stuleci, pomijając tę okoliczność, że po 1989 r. w Polsce dokonywała się ona w niesłychanie krótkim czasie. Bardzo interesująco, z autobiograficznej perspektywy, pisał o takim procesie Eric A. Havelock w swojej ostatniej książce, stanowiącej rodzaj testamentu uczonego: *Muza uczy się pisać. Rozważania o oralności i piśmienności w kulturze Zachodu*. Naukowe transgresje okazywały się z reguły bardzo efektywne, a dziś są wręcz koniecznością. Ekonomista Harold Innis zajął się prawami rządzącymi komunikacją – jego myśl kontynuowali literaturoznawca i znawca retoryki starożytnej Marshall McLuhan oraz zaprzyjaźniony z nim teolog, duchowny, specjalista od parenetycznego i pedagogicznego piśmiennictwa renesansowego Walter Ong. Sam Havelock był przecież filologiem klasycznym, podobnie jak Milman Parry, zaś Jack Goody, antropolog, myślał przecież najpierw o karierze badacza literatury angielskiej, co zresztą przydało mu się w czasach współpracy z Ianem Wattem, z którym opublikował sławną rozprawę *Następstwa piśmienności* (*The Consequences of Literacy)*.

Nie dziwi dziś, że sprawami niegdyś „zarezerwowanymi" dla filologów, językoczy literaturoznawców zajmują się socjologowie, psychologowie, a nawet przyrodnicy, choć np. swobodne adaptowanie przez humanistów niektórych terminów z nauk ścisłych wywołuje wątpliwości, a nawet drwiny[4] – i odwrotnie. Niemniej jest swoistym znakiem czasu to, że pewne koncepcje uznawane za „dyskusyjne" lub wręcz lekceważone (np. memetyczna teoria dyfuzji wartości kulturowych) zachęcają do ich powtórnego przestudiowania. Gdy bowiem podejmujemy, jak uczynił to Grzegorz Godlewski, tematy tak fundamentalne, jak zagadnienie „oralności" i „piśmienności" oraz znaczenie obu tych modeli kultury czy

[3] Koncepcja Jenkinsa zaprezentowana w książce *Textual Poachers: Television Fans and Participatory Culture* (London 1992) nawiązuje do pomysłów Michela de Certeau zawartych m.in. w *Praktyce życia codziennego* (*L'invention du quotidien*, 1980). O oryginalnych poglądach Certeau na temat codziennych praktyk językowych (oralnych i piśmiennych) Grzegorz Godlewski nie wspomina.

[4] Pamfletem na takie nadużycia jest m.in. książka Alana Sokala i Jeana Bricmonta *Modne bzdury. O nadużywaniu pojęć z zakresu nauk ścisłych przez postmodernistycznych intelektualistów*, przeł. P. Amsterdamski, Warszawa 2004. Wywołała ona żywe reakcje osób dotkniętych krytyką, a określonych w tytule. Na przykład K. Gajewski, broniąc prawa humanistów do posługiwania się zapożyczoną z dziedzin uważanych za „niehumanistyczne" (to także ślad przebrzmiałej typologii nauk), zauważał: „Bricmont i Sokal starają się w czytelniku »rozbudzić krytyczne nastawienie« (s. 20), przemycając założenie, że skoro myśliciel używa pojęć naukowych w sposób niefortunny, to prawdopodobnie całość jego spuścizny należy postawić pod znakiem zapytania. Rozumowanie to jest, rzecz prosta, nieuprawnione. Można bowiem, pisząc tekst filozoficzny, nieprecyzyjnie użyć jakiegoś terminu, a jednak stworzyć i zaprezentować teorię ważną i doniosłą. Co więcej, można nawet rozminąć się z logiką w swoich wywodach, a mimo to wyprowadzić wnioski posiadające wartość niepodważalną" (*Nie czas na żarty, panie Sokal!*, „Teksty Drugie" 2005, nr 4).

wręcz koncepcji człowieka przez „oralność" i „piśmienność" determinowanych – trudno uchylić się od pytania, w jaki sposób np. wynalazek pisma zdołał się nie tylko utrzymać przez setki kolejnych pokoleń, ale rozwinąć w formy technologicznie zaawansowane, jak druk czy cybergrafia (terminu tego używam na wzór „chirografii" i „typografii")? Kiedy człowiek, spojrzawszy na to, co „stworzył", stwierdził, że „co uczynił, było bardzo dobre" – w związku z tym umiejętność tworzenia pisma przekazał kolejnym pokoleniom? A przecież umiejętność tę przekazujemy do dziś poprzez słowo mówione, poprzez działanie (naśladowanie) i poprzez obraz. Może zadziałał tu jednak jakiś tajemniczy „gen" czy „mem"? Co będzie jednak, gdy nieporadne ruchy ołówka czy pióra na papierze zastąpi – wykonywany przez dziecko niemal od razu – ruch palców na klawiaturze komputera lub dotykanie ekranu? Czy ludzka ręka (a raczej: czy ludzki mózg) utraci zdolność kreślenia znaków tradycyjnego pisma?

Godlewski, projektując swój model „antropologii rozkwitającej" czy też „antropologii rozkwitania", pozwalającej odsłonić to, co najbardziej pierwotne w kulturze, jest świadom tego, że w podobnej procedurze opisowej najbardziej fascynujące jest zajmowanie się nie tyle „czystymi" postaciami oralności czy piśmienności (gdyż jest to, jak sam zauważa, praktycznie niemożliwe), ile strefami przejściowymi, „szarymi", obszarami, na których oralność i piśmienność rywalizują ze sobą lub stapiają tak bardzo, że nie sposób wyznaczyć granicy je dzielącej (to zresztą dostrzegał Havelock, odnajdując tropy piśmienności w tragediach antycznych). „Świat pisma to tylko jedna z konstelacji kosmosu mowy" – konstatuje Godlewski, idąc za sugestiami, stale na kartach tej książki obecnego, Bronisława Malinowskiego (s. 257). Słowo mówione jest dla Godlewskiego rdzeniem wszelkiej kultury nawet wówczas, gdy jego pierwotność zostaje przysłonięta przez formy ukształtowane przez media technologiczne. Jednym z zadań antropologii słowa jest tę pierwotność odsłonić, zaś procedury do tego prowadzące stają się zarazem refleksją nad głównymi wątkami rozwoju człowieka, kształtowaniem (się) jego człowieczeństwa.

Jednym z najciekawszych, najgruntowniej przemyślanych esejów Godlewskiego, zgromadzonych jego książce, jest ten, który omawia spór między zwolennikami „oralności" i „piśmienności", czyli rudymenty koncepcji m.in. Waltera Onga czy Jacka Goody'ego (część zatytułowana *Pismo*). W sporze tym Godlewski odsłania sprzeczności myślenia i tych pierwszych, i tych drugich. Paradoks podstawowy, choć, jak się wydaje – nie jedyny, bierze się stąd, że każde badanie przekazów oralnych musi odbywać się na materiale w jakiś sposób utrwalonym – czyli zapisanym na jakimś fizycznie istniejącym nośniku. Nieważne, czy będzie to notacja alfabetyczna w kajecie badacza, czy wykonana przy użyciu magnetofonu lub kamery wideo: obecność urządzenia (technologii) utrwalającego powoduje natychmiastowe „zamrożenie" żywego słowa, wyjęcie z naturalnego dlań środowiska komunikacyjnego, kontekstu – słowem odebranie mu „aury", o której pisał Walter Benjamin przy okazji omawiania technologii masowej reprodukcji. Trudno tu, wbrew drwinom Sokala, oprzeć się

odwołaniu do „zasady nieoznaczoności" Wernera Heisenberga, która w antropologii prowadzi wprost do dylematu opisującego relację między badaczem a badanym „obiektem" – dylematu, dodajmy, do dziś w naukach społecznych nierozstrzygniętego (dotyczy to socjologii, medioznawstwa – zwłaszcza statusu ontologicznego komunikowanych medialnie „faktów", w poważnym stopniu psychologii itd.). Co właściwie badamy? Czy to, co istnieje obiektywnie – czy raczej pewien substytut, przedmiot powoływany do istnienia przez badającego przez samo podjęcie badania? Symulakrum, a nie rzeczywistość?[5]

Odsłaniając „skażenie" teorii oralności przez myślenie piśmienne (czy wręcz typograficzne), omawiając podłoże krytyki koncepcji Jacka Goody'ego – przesadnie surowej w wydaniu gorącej zwolenniczki „oralności", Ruth Finnegan – Godlewski pokazuje, jak swoiste „wywyższenie" i podkreślenie autonomiczności kultur opartych na słowie mówionym, dokonywało się poprzez odnajdywanie w nich cech… piśmienności. Nieco przesadzając, moglibyśmy powiedzieć, że to tak, jakby ktoś chciał zaznaczyć brak rasistowskich uprzedzeń, mówiąc, że „Murzyni są przecież tacy sami, jak biali". Problem jest poważny, gdy chcemy myśleć o opisie wielu zjawisk kultury współczesnej, w której modelu na pierwszy plan wysuwa się „transmedialność". Pojmuję ją tak, jak Henry Jenkins, nie tylko jako wybór kanału komunikacyjnego czy określonej technologii, ale jako wybór pewnego kręgu możliwości, jakie ów kanał czy owa technologia w sobie zawierają, a także jako twórcze rekomponowanie takich możliwości, krzyżowanie ich w najrozmaitszych zakresach, słowem: tworzenie medium mieszanego, zdolnego przystosowywać się do najrozmaitszych zadań komunikacyjnych, jakie stwarza konkretna sytuacja i znajdujący się w jej centrum człowiek. W takim układzie „konwergencja mediów" mogłaby być rozumiana jako z jednej strony efekt „transmedialności" (a historia oralności i piśmienności jest jej wręcz modelowym przykładem), z drugiej można by ją pojmować jako ten obszar zjawisk transmedialnych, gdzie przybierają one formy w miarę ustabilizowane dzięki wytworzeniu stosownych technologii i narzędzi. Pozostaje jednak – bagatela! – wyjaśnienie, dlaczego, w jakich okolicznościach człowiek uświadamia sobie, że mowa, pismo, konkretne media na nich oparte są niewystarczające? Dlaczego chce przekroczyć granice ich „dyspozytywu"?

[5] Idąc za Havelockiem, który wskazywał zastanawiającą czasową koincydencję – okolice 1963 r. – w publikacji pracy swojej własnej (*Preface to Plato*), McLuhana (*Galaktyka Gutenberga*), Lévi-Straussa (*Myśl nieoswojona*), Goody'ego i Watta (*Następstwa piśmienności*) oraz biologa-neodarwinisty Ernsta Mayra (*Animal Species and Evolution)*, możemy pozwolić sobie na przypomnienie, że zasada nieoznaczoności Heisenberga została opisana w 1927 r. W tym samym też roku Malinowski publikuje pierwszą wersję *Życia seksualnego dzikich*, zawierającą wskazówki do zastosowania „metody uczestniczącej" w antropologii, podbudowane potężnym materiałem empirycznym; esej Benjamina wskazujący na utratę „aury" w procesie masowego kopiowania (*Dzieło sztuki w epoce masowej reprodukcji*) ukazał się wprawdzie w 1936 r., jednak samo pojęcie „aury" obecne jest w *Pasażach*, nad którymi autor zaczął pracować w 1927 r., a których struktura każe myśleć o… „zasadzie nieoznaczoności" właśnie.

Jenkins pisze:

…] odkąd okazało się, że medium zaspokaja jakąś podstawową ludzką potrzebę, wciąż funkcjonuje w obrębie większego systemu ludzkich możliwości komunikacyjnych. Odkąd nagranie dźwięku stało się możliwe, kontynuowaliśmy rozwijanie nowych i udoskonalonych środków zapisu oraz odtwarzania muzyki. Druk nie zabił mowy. Kino nie zabiło teatru. Telewizja nie zabiła radia. Każde ze starych mediów było zmuszone do koegzystencji z powstającymi mediami.[6]

U Godlewskiego czytamy:

Istnienie piśmiennego stosunku do mowy żywej i oralnego stosunku do tekstów pisanych nie podważa teorii piśmienności, lecz przeciwnie – stanowi jej ważkie potwierdzenie: oddziaływanie praktykowanego sposobu komunikacji okazuje się na tyle trwałe, że wytworzony za jego sprawą *habitus* nie od razu ustępuje pod wpływem incydentalnych kontaktów z innym medium, lecz początkowo wprowadza je w wewnętrzną przestrzeń swoich reguł i poddaje ich działaniu. (s. 165).

I nieco wcześniej:

[…] dotyczy to nie tylko sytuacji, gdy oralność pierwotna wchodzi w interakcje z pismem jako nowym środkiem komunikacji, ale również kultury współczesnej, będącej terenem współistnienia i przenikania się innych mediów, wśród których przekaz ustny ani nie jest już dominujący, ani nie reprezentuje oralności pierwotnej" (s. 164).

To ważne spostrzeżenia. Niemniej trudno powstrzymać się od pytania, czy procedury badawcze, jakie proponuje Grzegorz Godlewski (ale przecież nie tylko on sam), nie tworzą raczej jakiejś wysublimowanej, intelektualnej konstrukcji, idealnego modelu poznawczego, który – przynajmniej na razie – nie znajduje zbyt wielu potwierdzeń w analizach konkretnych zjawisk kultury. Spór o teorię Wielkiej Piśmienności wygasł chyba przedwcześnie, gdyż nie wszystko w jego trakcie wyjaśniono do końca. Jak badać np. kulturę hip-hopu, w której skupiają się i przecinają linie zarówno wyprowadzane z „paradygmatu oralności" (teksty utworów, przeważnie narracyjnych lub z dominantą narracyjności, są z reguły improwizowane, noszą cechy „formularności" etc., po przeniesieniu w sferę pisma wydają się wyłącznie prostacką, wulgarną grafomanią, tracą też swoją pierwotną performatywność), ale w równym stopniu „paradygmatu pisma", obrazu (graffiti, używanie tzw. tagów) oraz widowiska (taniec, często z elementami agonistycznymi) i muzyki. Tych składników nie można w żaden sposób „wydestylować", oddzielić od siebie, gdyż natychmiast tracimy z oczu perspektywę całości specyficznej, wyróżniającej się (i dążącej do wyróżnienia) kultury. Naturalnie – dochodzi do tego jeszcze perspektywa socjologiczna, demograficzna, psychologiczna, aż po pokazywanie odmienności polskiego, „blokerskiego" hip-hopu w porównaniu z amerykańskim rapem. W kulturze tej „działanie słowem" jest też „działaniem pismem", „mówieniem pismem"; jest w niej potrzeba spontaniczności i jednorazowości ekspresji, ale w równym stopniu uwyraźnia się chęć utrwalania zdarzeń (fotografowanie graffiti, nagrania płytowe, produkcja wideoklipów). Jest pierwiastek wspólnoty plemiennej (co można by podporządkować modelowi komunikacji oralnej), ale także silnie zarysowany indywidualizm (na ogół przypisywany kulturom „piśmiennym").

6 H. Jenkins, *Kultura konwergencji. Zderzenie starych i nowych mediów*, przeł. M. Bernatowicz, M. Filiciak, Warszawa 2007, s. 19.

Nie chcę wcale powiedzieć, że podobnie ukierunkowane badania nie istnieją – przeciwnie, jest ich coraz więcej. Ale wszystkie one nie likwidują podstawowej sprzeczności, której obecność potwierdza niejako książka Grzegorza Godlewskiego: pierwotną oralność wielu obszarów współczesnej kultury odsłaniamy, działając zawsze z poziomu utrwalonych (ergo: piśmiennych) jej dokumentów. Dotyczy to także kultury tworzonej w Sieci i za jej pośrednictwem. Badanie np. – i to w rozmaitych aspektach – korespondencji elektronicznej (maile, również sms-y) przypomina badanie korespondencji klasycznej, podobnie jak badanie blogów kieruje się analogicznymi zasadami jak badanie klasycznych dokumentów autobiograficznych – dzienników, pamiętników, sylw, kronik rodzinnych czy nawet *pêle-mêle*. A przecież jest to działanie oparte na uzurpacji, bowiem w ten sposób apodyktycznie rozstrzygamy, że wydrukowany zbiór listów elektronicznych, wpisów na internetowych forach, przebieg czatu czy piśmienny (papierowy) zapis dyskusji na blogu jest tym samym, co korespondencja w cyberprzestrzeni, że cybergrafia jest typografią – a więc rzeczywiście tym, co zamierzaliśmy badać. Tymczasem w Sieci – jak w żadnym innym środowisku komunikacyjnym – pismo jest działaniem, a więc zbliża się (choć bynajmniej nie utożsamia!) do słowa mówionego. Traktując list elektroniczny tak jak list klasyczny, „wyjmujemy" go z pierwotnego środowiska, „zamrażamy" tak, jak pismo zamrażało mowę żywą. Jesteśmy w sytuacji etnografa, który rejestruje kamerą wideo obrządek „zamawiania drzew" przed nastaniem zimy lub rytuał inicjacyjny w afrykańskim plemieniu. Nie pamięta jednak o tym, że rolnicy obchodzący sady w dzień wigilijny lub nadzy tancerze oglądają już telewizję i kto wie – może widzieli już film o zamawianiu drzew i film o inicjacji, np. na drugim krańcu Afryki. Etnograf jednak uważa, że to, co udało mu się zapisać, jest pierwotną postacią badanego zjawiska. Badacz piśmienności „wyjętej" z kulturowego kontekstu traktuje ją jako ostateczną formę piśmienności jako takiej, pomijając z reguły fakt, że ma do czynienia jedynie z jej historyczną postacią; podobnie postępuje badacz słowa mówionego.

Fragmenty książki Godlewskiego, w których przedstawia on „słowo działające" i „sztukę słowa żywego jako performance", należą do najbardziej inspirujących. Wprawdzie autor nie poświęca tej kwestii osobnej uwagi, pisząc np. że Sieć i przestrzeń komunikacyjna multimediów, a także liternet „to zjawisko wciąż jeszcze znajdujące się w fazie rozpoznawania swoich możliwości, a poza tym medium to, mimo całego zaawansowania technologicznego, opiera się nadal na piśmie" (s. 329), sądzę jednak, że właśnie w obszarze komunikacyjnym Internetu zagadnienie performatywności słowa (i to pisanego!) nabiera całkowicie nowego kształtu[7]. Można nawet myśleć, że to właśnie właściwości komunikacji elektronicznej (sieciowej) i stwarzane przezeń sytuacje komunikacyjne pozwoliły przemyśleć ponownie zagadnienia oralno-

[7] Grzegorz Godlewski jest jednym ze współredaktorów niezmiernie interesującego wydania *Almanachu Antropologicznego Communicare*, poświęconego Internetowi właśnie (Warszawa 2004). Tom ten jest praktycznie dziś niedostępny – co świadczy o zainteresowaniu tematyką poruszaną przez autorów prac w nim zebranych.

ści/ piśmienności sformułowane przez badaczy, którzy czasów upowszechnienia się Internetu i przyjęcia przezeń znanego nam kształtu nie dożyli. Dziś nikt już nie kwestionuje tezy, że w Sieci słowo – choć transmitowane i odbierane w postaci pisanej – ma lub stara się mieć i status, i funkcję mowy żywej, a więc istniejącej w wykonaniu, „przedstawieniu", „występie" – na co Godlewski kładzie nacisk. Komunikacja w Sieci jest silnie steatralizowana i nacechowana pierwiastkiem agonistycznym – co widać chociażby w *flame wars* prowadzonych na internetowych forach, dąży do „formularności", odznacza się wyraźną kontekstualizacją, obliczona jest na interaktywność, związek z odbiorcami, tworzącymi społeczność, *communitas*. I jeśli autor pisze, że w przekazie werbalnym (oralnym) słowo jest nie tylko nośnikiem znaczeń „przeznaczonych do odczytania i kontemplacji, lecz stanowi przede wszystkim *performance*, pewien sposób działania i doświadczenia, poprzez słowo i jego licznych towarzyszy" (s. 341), to opinie te można odnieść również do słowa w cyberprzestrzeni. I jeśli nawet owo „cybersłowo" czy „cyberlogos" ma formę pisma, to jego funkcje są analogiczne jak słowa mówionego lub „przedstawianego".

Zapewne tezę taką należałoby poważnie udokumentować, niemniej można przypuszczać, że momentem, w którym ludzie odkryli nowe szaty „cybersłowa" (pisanego przecież) był 11 IX 2001 r. Wówczas to pismo (a także wszystkie postaci utrwalania obrazów – fotografii czy wideo) wystąpiło w roli słowa mówionego – wspólnotowego, a więc „pierwotnego". Jak się powszechnie uważa, wtedy właśnie Internet dojrzał, określił swoją tożsamość i (co paradoksalne) zakończył etap „*Wanderjahre*". Podkreślmy: to całkowicie zmieniona rola słowa pisanego w przestrzeni komunikacyjnej stwarzanej przez Sieć spowodowała nasilenie i pogłębienie refleksji o naturze „piśmienności" i „oralności".

Tej problematyce poświęcona jest antologia opracowana przez niestrudzonego badacza „piśmienności ekranowej" (w najrozmaitszych jej wcieleniach): Andrzeja Gwoździa. Książka gromadzi fundamentalne dla zagadnień cybertekstu prace – m.in. George P. Landowa (nb. jest rzeczą niezrozumiałą, dlaczego wielokrotnie wznawiana, cytowana, omawiana i przywoływana przez polskich badaczy rozprawa amerykańskiego badacza o pokrewieństwach teorii hipertekstu i teorii krytycznej, *Hypertext 2.0: The Convergence of Contemporary Critical Theory and Technology* nie została dotąd w całości przetłumaczona na polski[8]), Niklasa Luhmana, Viléma Flussera, Jaya Davida Boltera czy Richarda Grusina. Jak w przypadku każdej antologii można, naturalnie, dyskutować o doborze tekstów i wskazywać braki. Można też wskazywać, że tom zredagowany przez Andrzeja Gwoździa wykazuje wyraź-

[8] W 2006 r. w tym samym wydawnictwie Johns Hopkins University Press ukazała się znacznie zmodyfikowana wersja tej książki *Hypertext 3.0: New Media in an Age of Globalization*, uzupełniona przez autora o wiele nigdzie dotąd nie ogłaszanych pomysłów zastosowania teorii hipertekstu i – generalnie – wspomaganych komputerowo technik pisania i tworzenia wielokodowych komunikatów. Mowa tu m.in. o edukacji, pozycji autora i czytelnika, ich wzajemnych zobowiązaniach, a także np. o orientacji „postkolonialnej" w badaniach kulturowych w kontekście konstrukcji hipertekstowych etc. Z tej wersji książki pochodzi wybrany przez Gwoździa fragment.

ne nachylenie w stronę badaczy niemiecko- i anglojęzycznych, pomijając Francuzów, Włochów czy Hiszpanów, których prace nie mogą także być niedoceniane. To są jednak tematy drugoplanowe. Ważniejsze mogą być dwie refleksje: pierwsza jest taka, że antologia *Ekrany piśmienności* to w zasadzie jedyna taka publikacja w Polsce, nie licząc tłumaczeń rozsianych w czasopismach naukowych, niszowych (redagowanych przez entuzjastów) lub ogłaszanych w Internecie przez specjalistyczne portale. Nie znajdziemy nigdzie np. przekładu *Gutenberg Elegies. The Fate of Reading in an Electronic Age* Svena Birkertsa – książki wydanej 15 lat temu i ciągle przywoływanej, najczęściej w polemicznych kontekstach. Nie ma Espena Aarsetha świetnej pracy o „literaturze ergodycznej", stanowiącej punkt wyjścia dla kolejnych rozważań o sposobie istnienia słowa w przestrzeni komunikacji wspomaganej komputerowo. Nie ma polskich wydań książek Jay'a D. Boltera, Richarda Grusina, Roberto Simanowskiego, Marie-Laure Ryan; nie ma też wielu prac „klasyków" (np. pisma Waltera Benjamina dotyczące jego filozofii języka znane są w oryginale jedynie wąskiemu kręgowi fachowców). Listę można wydłużać, a tytułów wartych przetłumaczenia i będących zarazem „kamieniami węgielnymi" dla ewentualnego nowego modelu teorii słowa i literatury jako „sztuki słowa" zebrałaby się już całkiem pokaźna biblioteka. Prace te są ze sobą powiązane polemicznie lub rozwijają pewne koncepcje wcześniej sformułowane: to istotny i nader pasjonujący dialog, który obserwujemy poniekąd z zewnątrz. Jesteśmy jak ludzie, którzy nagle stali się świadkami i słuchaczami rozmowy, trwającej od dawna: usiłujemy dowiedzieć się, o co chodzi i jakie są w niej racje – i jeśli nawet po trosze nam to się udaje, to i tak w pełni do dysputy włączyć się nie możemy.

To właśnie bardzo przekonujący dowód, że ścigamy cel stale nam umyka – o czym pisałem na wstępie. Trudno nawet wyobrazić sobie, że w krótkim czasie nadrobimy zaległości i że książki, których znajomość wydaje się niezbędna, by poważnie zajmować się komunikacją w Sieci (w najrozmaitszych jej aspektach), zostaną szybko przetłumaczone. Tymczasem książki te tworzą swoisty „hipertekst", spajany setkami „linków", po którym wędrujemy nader chaotycznie, bez możliwości stworzenia jakiejś bardziej spójnej wizji celu, do którego zamierzamy dojść. A jeśli dodamy do tego setki prac socjologicznych, psychologicznych, operujących w dziedzinach bliskich ekonomii czy prawu, a związanych z Siecią – obraz stanie się całkowicie nieprzejrzysty i przez to być może zniechęcający dla wielu potencjalnych wędrowców.

I to jest refleksja druga. Próbowałem stworzyć „link" między książką Grzegorza Godlewskiego i antologią Andrzeja Gwoździa. Uczyniłem to w sposób najprostszy, może nawet zbyt prosty: porównałem indeksy osobowe w obu książkach, co w przypadku prac naukowych może wskazywać na pokrewieństwo idei, pomysłów czy inspiracji, kierunków myślenia, pól tematycznych. Wynik tej operacji nie był zachęcający. Zapewne inteligentna maszyna informatyczna, która zastępuje nam usłużnego księgarza podczas zakupów np. w Amazon, nie proponowałaby zainteresowanym *Słowem – pismem – sztuką słowa* również książki zredagowanej przez Andrzeja Gwoździa. Godlewski np. przy-

wołuje Jacquesa Derridę zaledwie dwa razy (i to w zestawieniu bibliograficznym, czego indeks nie odnotowuje), gdy tymczasem w antologii Gwoździa nazwisko filozofa wręcz symbolizującego współczesną refleksję nad istotą języka pojawia się kilkadziesiąt razy – w pracach np. Landowa francuski teoretyk jest, obok Rolanda Barthesa, Michela Foucaulta czy Jeana-Françoisa Lyotarda bohaterem pierwszego planu. I odwrotnie: próżno by u autorów prac zebranych w *Ekranach piśmienności* szukać nazwisk Jacka Goody'ego, Ruth Finnegan czy Maurice'a Merleau-Ponty'ego. Walter Ong pojawia się zaledwie dwa razy, a jego przyjaciel McLuhan – zaledwie sześć.

Można odnieść – zupełnie zresztą mylne – wrażenie, że są to książki istniejące w zupełnie innych przestrzeniach myśli, że pola zawartych w nich refleksji nie mają żadnych punktów stycznych, albo jest ich tak niewiele, że nie warto o nich nawet wspominać. A przecież jest inaczej – co wyczuwamy intuicyjnie. Intuicje są w nauce niesłychanie ważne, bo mogą inspirować do nieoczekiwanych rozwiązań – jednak powinny się materializować w postaci przynajmniej zarysów teorii. Jak dotąd tak się nie stało. Nie udaje się skutecznie połączyć podejścia, jakie proponuje np. Grzegorz Godlewski z tym, które przedkładają autorzy prezentowani w antologii Andrzeja Gwoździa. Tymczasem rozwój komunikowania ludzkiego i służących mu mediów wskazuje, że kolejne – postgutenbergowskie – technologie zmierzały ku „rozmrożeniu" słowa dokonanego przez pismo i druk, chcąc mu zwrócić pierwotność opisywaną m.in. przez Godlewskiego. Stąd pomysły „oralności piśmiennej" i „wtórnej oralności" (Onga), które, chociaż zawierały w sobie dokuczliwą sprzeczność, oddawały nieźle istotę zjawiska. W antologii Andrzeja Gwoździa brakuje mi m.in. fragmentów prac Roberta Fowlera (który sugeruje, że hipertekstualność to powrót do słowa oralnego), Kathleen Tyner, Stevena Mizracha (podobnie jak John December wskazuje na konieczność odróżnienia tradycyjnej piśmienności od tej, która obecna jest w Internecie i proponuje, by nazywać ją „telepiśmiennością" lub „wtórną piśmiennością") czy Laury Gurak (badającej np. agresję internetową)[9]. Być może należałoby wśród autorów, których nieobecność w *Ekranach piśmienności* jest wyczuwalna, umieścić także Nicholasa Mirzoeffa z jego koncepcją pisma w Sieci jako obrazu lub też obrazów sieciowych jako pisma? Przecież właśnie wokół tego tematu krąży myśl Jaya Davida Boltera.

Artykuły zebrane w antologii *Ekrany piśmienności* otwierają się niemal nieuchronnie – już choćby przez to, że są silnie skoncentrowane na pojęciu tekstu, które okazuje się zbyt ciasne, by zmieścić w sobie te wszystkie odmiany piśmienności, jakie stwarza Sieć, a nawet pojedynczy komputer – w stronę tego podejścia, jakie

[9] Spośród wymienionych właśnie Steve Mizrach wydaje się postacią najbardziej interesującą dlatego, że jest zawodowym antropologiem, badającym m.in. wpływ technologii na tradycyjne struktury społeczne – plemienne (prace poświęcone zmianom wywoływanym przez nowe środki komunikowania wśród zamieszkujących rezerwaty plemion Indian Czejenów i Siuksów); poglądy pozostałych autorów interesująco omawia – w kontekście spuścizny myśli Onga – Anna Rogozińska w szkicu *Oralność, piśmienność, elektralność*, w: *Almanach antropologiczny. Temat: oralność piśmienność*, Warszawa 2007.

proponuje Grzegorz Godlewski: antropologii cyberprzestrzeni. Wszyscy autorzy przywołani w tej książce są bowiem przeświadczeni, że słowo pisane funkcjonuje w niej inaczej niż to wypisane przez skrybę na papirusie czy pergaminie, odciśnięte przez drukarza na papierze i to, które ukryło się w mediach masowych takich jak telewizja czy radio. Między chirografią a typografią zachodzi związek podobny jak między malarstwem a grafiką, ale ostatecznym efektem jest uformowany, zamknięty na płaszczyźnie obraz. A jaki związek zachodzi między pismem ekranowym a mową? Czy ustawiczne otwarcie, migotliwość, chwilowość – nazywana niekiedy „estetyką znikania" – nie tworzy relacji z żywą mową: zupełnie nowych, wciąż oczekujących na opisanie? A może na opowiedzenie?